

leg. 69.
CZYTANIA ŻOŁNIERSKIE. — № 2. (c).

DŁUG OJCZYŹNIE. CHORAŻY.

według A. Daudet'a



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 195



WARSZAWA — 1920.
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA.

Wydane z polecenia Sekcji Oświaty i Kultury
Odz. III. Szt. M. S. Wojsk. 4/IX 1920 r.

Zakłady Graf.-Wyd. „Książka” Warszawa, Montuski 11.

DŁUG OJCZYŹNIE.

Właściciel wielkiej kuźni, Lory, zły był jakiś tego wieczora.

Zwykle, jak tylko ogień w kuźni zgaszono, po zachodzie słońca, siadywał on na ławce przede drzwiami, ażeby wyprostować członki i wypocząć pocziwie po tem znużeniu, jakie daje rzetelna praca w skwarny dzień letni. Tam, na owej ławce, przed rozpuszczeniem uczniów i czeladzi, wypijał z nimi kilka dobrych szklanic świeżego piwa i przyglądał się z przyjemnością ruchowi, jaki powstaje na ulicach przy wyjściu robotników z fabryk.

Tego wieczora jednak stary kowal pozostał wewnątrz swej kuźni aż do kolacji, do której przyszedł jakiś niechętny i namarszczony. Żona jego, krzątając się około zastawienia stołu, spoglądała na niego zpod oka i myślała sobie:

— Co mu się stało?... Musiał pewno odebrać jakąś złą wiadomość z pułku i nie chce mi nic powiedzieć... Może nasz syn najstarszy zachorował...—Nieśmiała jednak o nic zapytać. Sama milczała i starała się utrzymać ciszę pomiędzy trzema chłopaczkami 'o jasnych włosach koloru kłosów dojrzałego zboża, którzy, cisnąc się ze śmiechem dokoła białego obrusa, z apetytem chrupali świeżutką i doskonałą sałatę z rzodkwi czerwonej ze śmietaną.

W końcu kowal odepchnął od siebie talerz z gniewem, wykrzykując sam do siebie:

— A łotry! a łajdaki!

— Komu to ty tak wymyślasz, moj Lory?— zapytała żona.

— Wymyślam — odpowiedział, wybuchając gniewem — pięciu czy sześciu bałwanom, którzy co rano włóczą się po mieście w mundurach francuskich żołnierzy i bratają się z Bawarami... To znowu kilku takich, którzy... jak mówią urzędowym stylem... wybrali narodowość pruską, a prosto Prusakami zostali. I powiedzieć, że codzień widzimy wracających takich fałszywych Alzaczy-

ków!.. Jakiego tam djabła z piwem, czy z winem pić im dają gałganom!

Stara matka chciała ich bronić.

— Mój stary, cóż mieli robić, nie zupełnie to ich samych wina... Widzisz, tak daleko ich posyłał... Tam tęsknią za krajem rodzinnym i wielką dla nich pokusą jest sposobność powrócenia do domu i porzucenia służby wojskowej.

Lory uderzył silnie pięścią w stół i zawołał:

— Cicho bądź stara!.. wy, kobiety, nic się na tem nie rozumiecie. Ciągłe z dziećmi, żyjąc dla nich jedynie, wszystkobyście rade ich miarą mierzyć... A ja ci powiadam, ja stary kowal, że ci nowopruscy poddani, to łajdaki, renegaci, najpodlejsi z ludzi, i że, gdyby nieszczęśliwym jakim wypadkiem mój syn pierworodny, mój Chrystjan dopuścił się takiej hańby, zaręczam ci, jak prawda, że się nazywam Jerzy Lory i że lat siedem służyłem w strzelcach francuskich, zaręczam ci, na nic nie zważając, tą starą szablą moją zabiłbym go, jak psa!

Straszny, na pół wyprostowany stary kowal pokazał przytem wyciągniętą ręką szeroki pałasz dawnych strzelców, wiszący na ścianie pod por-

tretem tego właśnie Chrystjana Lory. Portret ten przedstawiał, przystojnego chłopaka w mundurze 3-go pułku żuawów*). Na widok tej pocziwej twarzy alzackiej, zczerniałej od słońca, stary kowal uspokoił się nagle i, śmiejąc się głośno, zasiadł napowrót za stołem.

— Dobry ja sobie jestem z temi głupimi przypuszczeniami! Jakby to naszemu Chrystjanowi mogła przyjść myśl taka podła—zostać Prusakiem; jemu, który tak dzielnie walczył podczas wojny!

Myśl ta wróciła mu dobry humor, dokończył więc kolacji wesoło, potem wstał i poszedł wypróżnić kilka kufelków piwa w kawiarni „pod Strasburgiem“.

Matka Lory została w domu sama. Ułożywszy do snu trzech swoich malców, których jeszcze słyhać było szepczących w sąsiedniej izbie, jak ptaki świergoczące w gniazdku przed usnięciem, wzięła robotę i, wyszedłszy odetchnąć przed dom, usiadła na ławeczce od strony ogrodu i zaczęła cerować. Od czasu do czasu powtarzała sobie, wzdychając po cichu:

*) Żuaw — żołnierz jednego z korpusów piechoty francuskiej.

— Niech tam sobie i tak będzie! Łajdaki, zdrajcy, najpcdlejsi z ludzi... niech tam! Ich matki są bardzo szczęśliwe, mając ich przy sobie.

Przypomniała sobie czasy owe, kiedy syn jej, zanim poszedł do wojska, o tej samej godzinie dnia był tu, koło niej, i pod jej opiekuńczym wzrokiem bawił się w ogrodnika. Widziała go w wyobraźni, jak przy studni napełniał wodą swoje polewaczki, ubrany w bluzę niebieską; włosy długie spadały mu na ramiona, te śliczne włosy blond, które mu obcięto, gdy przystał do żuawów...

Nagle stara matka zadrżała.

Mała furtka w głębi ogrodu, ta furtka, którą się wychodzi na pole, skrzypnęła na zawiasach. Psy nie szczekały, a jednak ten, który wszedł tą furtką, jak złodziej przesuwiał się wzdłuż muru między ulami...

— Matko! to ja!

I stanął przed nią Chrystjan, w mundurze porozpinanym, zawstydzony, niepewny jakiś, jakby pijany... Nędznik wrócił w rodzinne strony z innymi i od godziny przeszło czaił się około domu, czekając i nie śmiejąc wejść, aż ojciec wyjdzie.

Chciałaby się na niego gniewać, ale nie ma

odwagi. Już tak dawno go nie widziała, tak dawno nie ucałowała!

A zresztą on jej tak tłumaczy, podaje słuszne powody. Tak mu tam tęskno było za stroną rodzinną, za nimi, za kuźnią, tak było smutno żyć od nich daleko! Przytem karność w pułku coraz silniejsza, a jego wszyscy przezywali Prusakiem, dlatego, że mówił po francusku akcentem alzakim. Ona wierzy wszystkiemu, co on mówi. Dostyc jej spojrzeć na niego, żeby mu uwierzyć.

Tak rozmawiając, weszli do dolnej izby. Malcy rozbudzeni poprzybiegali bosą, w koszulkach, przywitać starszego brata. Chciano mu dać jeść, ale on nie głodny; pić tylko mu się chce, pić i pić, i pije wodę wielkimi szklanicami po tych wszystkich kuflach piwa i kieliszkach wina białego, które wypił od rana w szynku z towarzyszami.

Wtem odgłos ciężkich kroków rozległ się w podwórku. To kowal wraca do domu.

— Ojciec idzie! Schowaj się, chłopcze, jak najprędzej. Ja mu sama powiem, ja mu wytłumaczę.

I popchnęła go za wielki piec fajansowy, usiadła i schwyciła w drżące ręce robotę. Na nie-

szczęście szeroki i jaskrawy pas od munduru zu-
awa został na stole i pierwszą rzeczą, którą spo-
strzegł, wchodząc, stary Lory, był ten pas. Matka
zbladła, zmieszała się... Stary wszystko odrazu
zrozumiał.

— Chrystjan jest w domu! — wykrzyknął
strasznym głosem i, porwawszy szablę ze ściany,
z szalonym ruchem rzucił się w stronę pieca, gdzie
siedział zuaw skurczony, wyblady, wytrzęziony,
oparty o mur, drżący ze strachu.

Matka rzuciła się między nich:

— Lory! ojciec! mężu! nie zabijaj go. To ja
winna jestem wszystkiemu, ja do niego pisałam,
żeby wrócił, ja pisałam, że ty go potrzebujesz
przy kuźni!...

I schwyciła go za rękę, łkając i tarzając się
po ziemi. Dzieci w swoim pokoju, w nocy, po
ciemku, przerażone, słysząc płacz i głosy tak
zmienione, że ich rozpoznać nie mogły — płakały...

Kowal wstrzymał się, patrząc na żonę.

— Al to ty pisałaś do niego, żeby wrócił...
Ty!... No, dobrze, niech idzie spać. Jutro zobaczę,
co mi zrobić wypada.

Nazajutrz Chrystjan, budząc się z ciężkiego

snu, pełnego strasznych marzeń i zmor okrutnych — znalazł się w swoim dzieciennym pokoiku. Przez szyby, zwyczajem miejscowym w ołów oprawne, przeplecione chmielem kwitnącym, przeciskało się słońce, już wysoko na horyzoncie i gorące. Na dole młoty dzwonią o kowadła... Matka siedzi w głowach łóżka; nie opuściła ona tego miejsca przez całą noc, tak obawiała się gniewu swego męża. Stary ojciec również całą noc nie spał, nawet się nie położył. Do rana chodził po domu, płacząc, wzdychając, otwierając szafy, i oto w tej chwili wchodzi do pokoju swego syna, poważny, spokojny, ubrany jak do podróży, w długich butach z cholewami, w szerokim kapeluszu, w rękę ma kij górski, mocny, gruby i okuty u dołu? Zbliża się wprost do łóżka syna.

— Dalej, prędko!... wstawaj! ubieraj się!

Chłopiec zerwał się zmieszany, nie wiedząc, co to będzie, i chwycił za swój mundur żuawski.

— Nie rusz tego!... — rzecze ojciec groźnie.

A matka, przełęknioma, patrząc w oczy mężowi, odpowiada bojaźliwie za syna:

— Ależ mój kochany, cóż on ma włożyć na siebie? On niema innego ubrania.

— Daj mu moje... Mnie już ubranie niepotrzebne.

Kiedy się chłopak ubierał, Lory złożył starannie cały jego mundur, kaftan brązowy żółto lamowany, i szerokie szarawary czerwone, i pas, i turban. Zwinął to wszystko w pakiet, blaszaną puszkę, w której była marszruta, założył sobie na szyję...

— Teraz, kiedyś gotów, chodźmy na dół! — rzekł, i wszystko troje zesłi, milcząc, do kuźni.

Tam miechy dmą, wszyscy są przy pracy.

Zobaczywszy tę wielką jakby wozownię otwartą, ten ruch, tę działalność, to wszystko, o czem tak często myślał w wojsku, żuaw przypomniawszy sobie dzieciństwo i czas, kiedy się bawił wśród blasku słonecznego na drodze i iskier kuźni, błyszczących w czarnym dymie i sadzy. Serce mu się ścisnęło, zdjęła go jakaś nieopisana czułość, pragnienie nieskończone otrzymania przebaczenia ojca — ale ile razy podniósł oczy na niego, spotykał zawsze spojrzenie srogie i nieubłagane.

Nakoniec stary kowal przemówił:

— Chłopcze — rzekł — oto kowadło, młot, oto narzędzia, kuźnia i miechy... wszystko do ciebie należy. I to wszystko też twój! — dodał, odwra-

cając się i wskazując ogródek, który widać było w głębi, pełen słońca i pszczół, w ramach drzwi zakopconych.

— Ule, winnica, dom, wszystko, wszystko do ciebie należy... Poświęciłeś swój honor dla tych wszystkich rzeczy, zostałeś za to wszystko Prusakiem... słusznie więc, żebyś przynajmniej to wszystko otrzymał wzamian... Jesteś tu panem... Ja odchodzę... Winien zostałeś Francji pięć lat... idę je oddać za ciebie.

— Lory, mężu! dokąd idziesz?! — zawołała nieszczęśliwa matka.

— Ojcie! — z płaczem odezwał się chłopiec...

Ale stary kowal już wyszedł i oddalał się wielkimi krokami, nie oglądając się nawet.

.....

W miejscowości, gdzie stał garnizonem 3-ci pułk żuawów, przed kilku dniami przystał do wojska pięćdziesięcioletni ochotnik.

CHORAŻY*).

Na stokach nasypu kolei żelaznej stał pułk jeden i bił się. Cała armja pruska, pod lasem, brała go na cel. Strzelano do siebie o osiemdziesiąt metrów. Oficerowie wołali do żołnierzy:

— Na ziemię!

Ale nikt nie chciał słuchać i dumny pułk stał nieporuszony, stał ciągle dokoła swojej chorągwi. Pośród widnokregu bez granic, o zachodzie słońca, między polami wykłoszonego zboża i pastwiskami, gromada tych ludzi w niedoli, otoczonych gęstym dymem, była podobna do stada zaskoczonego na otwartem polu pierwszym porywem strasznej burzy.

Bo też deszcz żelazny padał na ten nasyp kolejowy! Nie było słyszeć nic więcej prócz da-

*) Opowiadanie z czasów wojny francusko-pruskiej w 1871 r.

lekiego pękania wystrzałów karabinowych, głuchego szelestu manierek, spadających do rowu i świstu kul, przelatujących wzdłuż całego pola bitwy z dźwiękiem strun posepnego a głośniego narzędzia śmierci. Od czasu do czasu obłok dymu zakrywał chorągiew, która ponad głowami trzepotała od wichru kul; wtedy odzywał się głos potężny i dumny, głusząc wystrzały, jęki i klątwy rannych:

— Do chorągwi, dzieci, do chorągwi!..

Wnet jakiś oficer rzucił się jak mara w tę czerwoną chmurę i znowu bohaterskie godło, odżywszy, unosiło się ponad bitwą.

Dwadzieścia dwa razy upadło!.. Dwadzieścia dwa razy pochwyciono rękojeść tej chorągwi, jeszcze ciepłą, gdy wypadła z umierającej dłoni; a kiedy, po zachodzie słońca, reszta pułku — garstka ludzi — cofnęła się powoli, sztandar był już tylko szmatą w rękach sierżanta Hornusa, dwudziestego trzeciego chorążego w tej bitwie.

Sierżant Hornus był to sobie stary pocziwiec, zaledwie umiał się podpisać, a dwadzieścia lat służył, żeby się dosłużyć stopnia podofi-

cerskiego. Na tem czole niskiem, w tym grzbiecie zgarbionym od tornistra i w całym zachowaniu się człowieka, co przywykł stać w szeregu, znać było przeżyte cierpienia dziecka podrzuczonego i dwadzieścia lat życia koszarowego. Prócz tego, sierżant Hornus jękał się; — ale do noszenia chorągwi nie trzeba wymowv.

Wieczorem po bitwie rzekł do niego pułkownik:

— Masz w ręku chorągiew, dzielny chłopie; dobrze więc, zatrzymaj ją.

Zaraz potem markietanka przyszyła srebrną gwiazdkę chorążego na nędznym mundurze, co bywał i w ogniu i na deszczu. Było to jedyne zadowolenie dumy w życiu pełnem pokory. Odrazu stary wiarus wyprostował się, jak trzcina. Biedny ten człowiek, przywykły do marszu z oczyma spuszczone w ziemię, trzymał odtąd głowę do góry, żeby widzieć tę szmatę i nieść ją prosto, wysoko, ponad śmierć, ponad zdradę i ucieczkę.

Nie widzieliście nigdy człowieka tak szczęśliwego, jak Hornus podczas bitwy, kiedy trzymał chorągiew obiema rękoma. Nie przemówił

do nikogo, nie poruszył się. Poważny, jak kapłan: sądziłbyś, że ma jakąś świętość w swojej pieczy. Całe jego życie, cała siła skupiały się w tych palcach, obejmujących rękojeść pięknego, przetykanego złotem sztandaru, dokoła którego świszczały kule;—w jego oczach, pełnych pewności siebie, skierowanych w oczy Prusakom, można było czytać słowa:

— Spróbujcie mi ją odebrać!.

Ale nikt tego nie próbował, nawet śmierć. Borny, Gravelotte minęły, — najkrwawsze bitwy, a chorągiew szła ciągle dalej, podziurawiona, pościęta, przezroczyta od ran i dźwigał ją ciągle stary Hornus.

Nadszedł wrzesień—armia pod Metzem, oblężenie i długi wypoczynek w kałuży, gdzie armaty ordzewiały i gdzie najpierwsze wojska na świecie, zdemoralizowane beczynnością, brakiem żywności i nowin, umierały z gorączki i z nudów pod cieniem karabinów, ustawionych w kozły. Ani oficerowie, ani żołnierze, nikt już nie miał wiary; **jeden Hornus wierzył. Trójkolorowy strzępek płót-**

na był dla niego wszystkiem, i dopóki go czuł przy sobie, zdawało mu się, że jeszcze nic nie przepadło.

Na nieszczęście, ponieważ bitwy ustały, pułkownik trzymał chorągiew u siebie, na jednym z przedmieść Metz, i dzielny Hornus był prawie podobny do owej matki, której dziecko zostało powierzone mamce. Myślał ciągle o swoim sztandarze. Jeśli już bardzo się stęsknił, to szedł do miasta, jednym tchem, a gdy zobaczył chorągiew na tem samym miejscu, spokojnie opartą o mur, wtedy wracał do obozu pełen odwagi i cierpliwości, wnosząc pod swój zmoczony namiot rozkoszne sny o bitwach, o zwycięskim pochodzie, o trójkolorowej chorągwi, powiewającej tam, na okopach pruskich.

Rozkaz dzienny marszałka Bazain'a rozproszył te marzenia. Pewnego ranka Hornus, obudzony się, zobaczył cały obóz w ruchu, żołnierzy skupionych gromadkami, bardzo ożywionych, rozgorączkowanych, wznoszących okrzyki wściekłości i pięści w kierunku miasta, jakgdyby tam znajdował się sprawca ich wzburzenia.

— Schwytąć go!... — wołano.

— Rozstrzelać go!

Oficerowie nie przeszkadzali temu... Trzymali się na uboczu, ze wzrokiem utkwionym w ziemię, jakgdyby się wstydzili swoich ludzi. I było się czego wstydzić. Rozkaz dzienny marszałka wydawał w ręce wroga, bez walki, sto pięćdziesiąt tysięcy wojska, dobrze uzbrojonego i jeszcze dzielnego.

— A chorągwie? — spytał Hornus, poblądłszy. Chorągwie były też wydane, razem z innymi rzeczami, z bronią ręczną, z amunicją, ze wszystkim.

— ...Przez Boga! — jęknął chorąży — mojej nie dostaną!

I pobiegł ku miastu.

Tam również wielki ruch panował. Gwardziści narodowi, mieszczanie, żołnierze rozprawiali głośno, gestykulowali. Po ulicach przesuwały się deputacje i w wielkiem podnieceniu dążyły do marszałka. Hornus niczego nie widział, nie słyszał niczego. Idąc przedmieściem, rozmawiał sam z sobą.

— Zabrać mi moją chorągiew!.. Cóż znowu? To niepodobna! Któżby miał prawo do tego? Niech sobie daje Prusakom to, co jest jego własnością, swoje karety, swoje srebra meksykańskie... Ale co moje, to moje... To mój honor. Nie pozwolę go dotknąć nikomu.

Szybki chód, jąkanie się, przerywały jego słowa, ale w gruncie rzeczy stary miał silne postanowienie. Postanowienie niezłomne: schwytać chorągiew, unieść ją do swego pułku i przedrzeć się przez karki pruskie wraz z tymi, co za nią pójdą.

Kiedy przyszedł, nie wpuszczono go nawet. Pułkownik, także uniesiony gniewem, nie chciał się z nikim widzieć. Ale Hornus nie zrażał się tem.

Chodził przed bramą, tupał nogami, kłął, prawie krzyczał:

— Chorągiew... oddajcie mi moją chorągiew...
Nareszcie otworzyło się okno.

— To ty Hornus?

— Tak, pułkowniku, przychodzę...

— Wszystkie chorągwie są już w Arsenale...

Idź tam, dadzą ci pokwitowanie...

— Pokwitowanie?.. Na co?..

— Taki rozkaz marszałka...

— Ale, pułkowniku...

— Daj mi święty spokój!

I okno się zatrasało.

Stary Hornus zatoczył się, jak pijany.

— Pokwitowanie... pokwitowanie... — wymawiał bezmyślnie.

Nakoniec ruszył dalej, nie pojmując nic więcej nad to, że chorągiew była w Arsenale i że on powinien był odzyskać ją za jakąbądź cenę.

Bramy Arsenалу były otwarte narozcież dla przepuszczania stojących na podwórzu furgonów pruskich. Wchodząc, Hornus zadrżał. Byli tam już zgromadzeni wszyscy inni chorążowie, pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu oficerów, każdy zrozpaczony, milczący; przytem owe posępne wozy na deszczu, ci ludzie obok nich z gołemi głowami, — istny pogrzeb.

W jednym kącie leżały wszystkie chorągwie armji Bazain'a; wałały się w błocie. Nie mogło być nic smutniejszego nad te strzępy jaskrawego jedwabiu, złotych frendzli i te rzeźbione rękojeści,

oznaki minionej sławy, rzucone na ziemię, zmoknięte, zbłocone. Jakiś oficer z wydziału administracyjnego podnosił jedną chorągiew po drugiej, wywołując pułk odpowiedni, poczem chorąży zbliżał się i otrzymywał pokwitowanie.

Dwaj oficerowie pruscy, sztywni, nieporuszeni, mieli nadzór nad ładowaniem sztandarów.

I to miał być wasz koniec o święte sztandary sławy! Rozpościerając przed wrogiem swoje rany, zamiatając bruk błotnisty, jak ptaki ze złamanymi skrzydłami uniosłyście daleko hańbę spowiewanych rzeczy wielkich i każdy z was zabrał z sobą część Francji. W fałdach waszych zostały promienie słońca długich marszów wojennych. Wasze ślady kul to pamiątki po nieznanym ofiarach, co zginęły przypadkiem, gdy sztandar brano na cel...

— Hornus, na ciebie kolej... Wołają cię... Odbierzesz pokwitowanie...

Nie o pokwitowanie jemu chodziło.

Zobaczył swoją chorągiew. Rzeczywiście, swoją własną, najpiękniejszą, najbardziej podartą ze wszystkich... A kiedy ją zobaczył, to mu się zdawało, że stoi jeszcze tam, na owym nasypie

kolei żelaznej. Zdawało mu się, że słyszy świst kul, szelest manierek i głos pułkownika: „Do chorągwi dzieci!..“ Widział swych dwudziestu dwu towarzyszy na ziemi i siebie, jak dwudziesty trzeci z kolei rzucił się, żeby podnieść i podtrzymać biedną chorągiew, która się chwiała dla braku rąk. O, on wtedy przysiągł bronić jej do śmierci. A teraz...

Gdy pomyślał o tem, wszystka krew z serca uderzyła mu do głowy. Wzburzony, nieprzytomny, rzucił się na oficera pruskiego, wyrwał mu drogą chorągiew i objął silnie obiema rękoma; potem chciał ją jeszcze podnieść, podnieść wysoko, prosto i krzyknąć:

— Do chorąg...

Ale głos zamarł mu w piersiach. Rękojeść zadrżała i wysunęła się mu z dłoni.

W tej ciężkiej chwili, która tak silnie przygniata miasta, co się poddają, w chwili, gdy śmierć się nad niemi unosi, chorągiew nie mogła już powiewać, — nic dumnego żyć już nie mogło... I stary Hornus padł, jak rażony piorunem.



